

w innych powiatach przemysł ten ustawał, ale w zakątku, obejmującym obecne powiaty ostrzeszowski i odolanowski, dotrwał aż do XVIII a nawet XIX wieku.

Pytanie teraz: kiedy ten przemysł miejscowy u nas powstał? Nadaremnie szukalibyśmy odpowiedzi w kronikach naszych, które takie rzeczy wogóle ignorują; nie znajdziemy jej nawet w takich dziełach, jak X. Rzączyńskiego ¹⁾ ani nawet w więcej fachowych opisach ziemi naszej, jak St. Staszica ²⁾, Ks. Osińskiego ³⁾, T. Czackiego ⁴⁾ i Łabęckiego ⁵⁾.

I nawet niepodobna odpowiedzieć na to pytanie dokładnie, gdyż posiadamy niezawodne dowody, nie tylko w prastarych nazwach miejscowości, ale i dowód niemniej niezawodny, że przemysł ten sięgał przedhistorycznych czasów. Nie tak dawno temu, 1881 r., dyrektor gimnazjalny. Dr. Schwarz z Poznania w rozprawie p. t. „Materialien zu einer praehistorischen Karte der Provinz Posen“, podaje, że sam znalazł między Śmigłem a Starem Bojanowem (w pow. kościańskim dawnym) a później i w Siedlikowie w pow. ostrzeszowskim, urny nietknięte a zawierające oprócz popiołów żuźle, a nadto otoczone i pokryte żuźlami a nie kamieniami polnymi. — Ten właśnie komunikat pobudził Haegermanna do starań o wskrzeszenie, jeżeli nie w naszej dzielnicy, to przynajmniej w sąsiedniej — na Szląsku, przemysłu, polegającego na przetapianiu naszych krajowych minerałów żelazonośnych, a więc z zyskiem dla kraju. W skutek tych zabiegów podjął się tego p. Naege-

li dyrektor kulmickiej huty w Żorach (Sorau) a za jego przykładem poszły inne huty górnośląskie, obecnie chętnie ten materiał, do przetapiania sprowadzające. Tak więc przedhistoryczne odkrycie oddało tu pośrednio usługę ekonomiczną naszej dzielnicy, a mianowicie nietylko robotnikom przy wykopywaniu zajęтым, ale zwłaszcza właścicielom tych moczarów i nieużytków. Przed Schwartzem wprowadzie inni autorowie o żuźlach otaczających urny u nas pisali, np. pastor Adelt ¹⁾. Dużą urnę z płaskiego grobu pod Śmigłem, r. 1674 wykopaną oglądał w muzeum prof. Olearius w Halli n. Sałą Jakob a Mellen z Lubeki i szczegółowo ją opisał ²⁾ a nawet na 5 tablicach przedstawił ryciny i samej większej urny i przedmiotów w niej się mieszczących (szpilka bronzowa) i otaczających ją mniejszych urn i samego płaskiego grobu (skrzynkowego). Nas obchodzi w tym komunikacie tylko fakt, że wedle opisu jako kamienie użyte były do tego grobu bryły podłużne żuźli bardzo znacznych rozmiarów. — Martin Adelt pisał o tem później, nie przytacza jednak wcale ani listu Mellena ani wiadomości o tem, że urna ta dostała się do muzeum w Halli. Mimo że na ten fakt tak wczesnie zwrócono uwagę, widocznie nikogo u nas nie zajmowała sprawa ta ani ze względu na urny, — ani na istnienie już od tak dawna przemysłu żelaznego w naszym kraju. Schwarz zwrócił uwagę także i na kilkakrotny fakt znalezienia — nie tylko w urnach, ale i wśród otaczających je żuźli lub w kopcach z tych żuźli sypanych — srebrnych piądzków z czasów cesarzy rzymskich lub srebrnych ozdób (pod Śmigłem i w Opatowie w pow. ostrzeszowskim) i przypuszczał, że do stopu dodawano srebra. Nas nie obchodzi to przypuszczenie, ale jedynie sam fakt, jako mogący dokładnie oznaczyć czas, kiedy te żuźle powstały. — Prymitywne piece, w jakich żelazo topiono, są to doły 1½ m. głębokie i równie wielkiej średnicy. Żuźle w nich znajdujące się wraz ze śladami niedopalonego węgla pokryte są war-

¹⁾ Historia naturalis curiosa regni Poloniae. Sandomir. 1721.

²⁾ St. Staszic. O ziemiordztwie gór dawnej Sarmacji 1806.

³⁾ Ks. Osiński: Nauka o rudach żelaznych 1782. X. Osiński nie przypuszcza nawet, żeby u nas topiono żelazo przed sprowadzeniem umyślnie w tym celu Włochów do majątności królowej Bony.

⁴⁾ Tad. Czacki: O prawach litewskich i polskich 1800.

⁵⁾ Hieron. Łabęcki: Górnictwo w Polsce I. 1841.

Tad. Czacki oznacza czas powstania pierwszych dymarek na wiek XIII. Łabęcki nie tylko ogólnie mówi, że wiadomości o piecach żelaznych pierwotnych sięgają u nas czasów dawniejszych, aniżeli akta koronne w ogóle, ale daje dowody, że np. w wojew. sieradzkim w starostwie grabowskim nad Prosną w różnych wsiach istniały rudnice, dymarki i kuźnice poruszane wodą już w początkach XV wieku, i to dowody, oparte na zachowanych aktach i te wsie po kolei wymienia.

¹⁾ De Arianismo olim Smiglam infestante.

²⁾ Jacobi Mellena Lubecensis historia urnae sepulcralis Sarmaticae anno 1674 repertae. Ad Exc. Virum. D. G. W. Wedelium M. D. et Prof. Archiatrum Ducal. Saxon... Jenae, typis S. Krebsii. 1679. Do komunikatu jego dołączona jest prof. Itcol. Casp. Sagittariusza rozprawa o pochodzeniu tych zabytków.



stwą udeptanej gliny, pokrytej kamieniami z kominkiem i otworem u dołu dla miecha; przypominają one piece, jakich ludność murzyńska dotąd od najdawniejszych czasów używa do przetapiania żelaza, a które dla wydobycia „upławka“, t. j. stopionego żelaza, trzeba rozbijać. — Dr. Schwartz, choć widział i nie rozbite piece, nie znalazł nigdy śladów wapna ani potażu w tych piecach ani też w żuźlach. Widocznie nie znano wtedy nawet sposobu ułatwienia sobie topienia żelaza za pomocą tych prostych dodatków. W niektórych miejscach u nas dochodzą kopce albo wały (hałdy) z żuźlami starymi do rozmiarów wcale znacznych. Tak np. wiadomo, że b. landrat Liman opowiadał, iż przy budowie żwirówki z Podzamcza do Opatowa (pow. kempijski) widział hałdę taką przeszło 100 stóp długą. Referent znalazł także bardzo znaczną hałdę w okolicy Rokutowa nad Prosną, gdzie istniała wyraźnie fryszerka i widać jeszcze szczątki budowli, służących do tamowania wody pod kuźnię. Takich miejscowości jest nad górną Prosną dużo; część tych spadków obrócono obecnie na młyny. Żuźle z hałd brane odznaczają się nietylko bogactwem fosforu, ale zawierają i żelaza dosyć, aby opłaciło się jego wytapianie powtórne. W latach 1872—80 przetapiała np. Królewska Huta dużo takich żuźli z pobliskich hałd Górnego Szląska i dawnego Księstwa Siewierskiego za granicą. Wtedy nikt jeszcze nie myślał o zużytkowaniu zawartego w żuźlach kwasu fosforowego do celów rolniczych. W Poznańskim w tym czasie nie sprzedawano jeszcze ani żuźli ani minerału żelazodajnego. Rudy używano wtedy tylko jako budulca pod fundamenty a nawet na mury. Są w różnych okolicach naszego Księstwa wsie, gdzie nietylko zabudowania gospodarskie, ale i kościoły i dwory są z tego materiału zbudowane. ¹⁾ Ruda żelazna, czyli żelaziak brunatny, zwany darniowym, bywa nie zawsze kruchy

i mielisty, ale posiada pewną spoistość, która sprawia, że może wytrzymać wielkie ciśnienie i nie psuje się ani w wilgoci ani na powietrzu. Stąd więc w łożyskach dawnych rzek, gdzie brak kamieni polnych zupełny, uciekano się do używania rudy jako budulca oddawna.

Wiwianit atoli zupełnie do tego się nie nadaje. Jest to bardzo rozpowszechniony w przyrodzie minerał, na którego wartości dla rolnictwa dopiero w ostatnim czasie się poznano i którego zużytkowanie w Królestwie np. może być jeszcze większe, jak u nas. Pod względem naukowym interesuje nas fakt, że w moczarach i torfowiskach łatwo odnaleźć kości, rogi i muszle, ¹⁾ przesiąknięte wiwianitem i ubarwione przezeń sino lub zielono. Widzieć można na nich pod lupą kryształki wiwianitowe. Także i drzewo, długo w takich wodach leniwie płynących leżące, ulega skutkom osadzenia się wiwianitu. — Nadaje to drewnu barwę ciemną, mniej lub więcej błękitną, czarną nawet i czyni drzewo, zwłaszcza dębowe, które długo na spodzie wód leżało, pożądanym materiałem do wyrobu mebli. Są ludzie, którzy porobili majątki na wydobywaniu takich pniaków, utrudniających tylko bieg rzeki i żeglugę; dostawali oni premie za regulowanie rzeki a stolarze drogo im płacili za materiał, który obecnie znów bardzo wchodzi w modę. Wystarczy pocierać jeden taki kawałek drewna o drugi, aby jego powierzchnię wygładzić. Warto i u nas na to zwrócić uwagę. W Prośnie np., skąd posiadamy tyle szczątków dyluwialnych zwierząt: słonia, nosorożca, tura, łosia, daniela olbrzymiego i t. p., tkwi także bardzo dużo drewna w łożysku obecnym lub nad brzegami; nadawałoby się ono do obrobienia i dawałoby dość znaczny zysk właścicielowi i stolarzowi umiejętnemu, choć nie może ten zysk oczywiście równać się z zyskiem, jaki ma robocza ludność a zwłaszcza właściciele meliorowanych nieużytków przez wywóz minerału szkodliwego dla roślinności a chętnie wykupowanego przez huty, które potem tym samym rolnikom odprzedają i żelazne narzędzia i nawóz drogocenny, zwany tomasówką albo Tomassing.

Dr. Fr. Chłapowski.

¹⁾ Np. pałac łowiecki w Antoninie, rezydencji ks. Radziwiłłów, aż do I-go piętra zbudowany z rudy, powyżej z drzewa, jest tego dowodem. Warto wspomnieć i piękny kościół w Czarnym Sadzie (Schwarzwald) w pow. odalanowskim, cały z rudy darniowej zbudowany.

¹⁾ Takie okazy pokazywano w ciągu wykładu.



Krajoznawstwo na wystawie miast-ogrodów i przyrodniczej.



PAWILON WYSTAWY PRZYRODNICZEJ W BAGATELI.

Fot. M. Wiśniewski.

Wielokrotnie zwracano już u nas uwagę na nienormalne zjawisko upośledzenia przyrodznawstwa w kulturze naszego ogółu na korzyść kierunku humanistyczno-literackiego.

Nienormalność ta ujawnia się tak w dysproporcji programów nauczania szkolnego na różnych stopniach naszego szkolnictwa, poczynając od szkół elementarnych a kończąc na uczelniach wyższego pokroju, jako też i w upodobaniach i zamiłowaniu naszego czytającego, „inteligentnego“ ogółu.

Nieznamość jakiegoś nowszego utworu literackiego pożytywana jest za dowód ignorancji, pokrywającej rumieńcem wstydu młodzieńca i człowieka dojrzałego, kapitalne zaś, epokowe zdobycze przyrodznawstwa z przed lat dziesięciu i dawniejsze, o których na Zachodzie i wróble na dachach już ćwierkać przestały, pokryte są wciąż przed naszym ogółem zasłoną tajemniczości, stanowiąc dziedzinę dostępną zaledwie dla „suchych“ specjalistów-przyrodników.

Pierwsze lepsze powieści, drukowane w tyśiącach egzemplarzy, rozchodzi się niezwłocznie, dając wydawcy i autorowi pokaźne zyski i honorarium, a poważniejsza książka przyrodnicza nie może sobie wcale znaleźć nakładcy. Zjawisko to aż nadto niestety dobrze u nas znane.

I cóż dziwnego, że w tej atmosferze naszej literackiej, antyprzyrodniczej kultury lęgną się potworki sentymentalnych, słabych charakterów, rzęszce apatycznych, pozbawionych zdrowego, realne-

go poglądu na świat i życie natur ludzkich, wyrażają dziwolągi antyspołecznych stosunków, gnębiących nasz ogół i moralnie i fizycznie.

Kogo nie wdrożono do uczenia się od przyrody mądrości życiowej, nie zahartowano w zmaganiu się z trudnościami naturalnymi, komu nie wskazano na naturalny łańcuch przyczyn i skutków, jakim być musi każde pasmo działań prywatnych i publicznych, ten żyć musi w takich właśnie warunkach, w jakich nasz przeciętny „obywatel“ żyje: w stosunkach antyhygienicznych, antymoralnych, antyspołecznych, wogóle w warunkach, niewiele mających wspólnego z istotną „kulturą“.

Przyznać należy, że ostatnich lat kilka przyniosły nam niejaką poprawę stosunków tych na lepsze. Przynajmniej w dziedzinie prywatnego wychowania publicznego przyrodznawstwo zdobyło sobie wyższe i bardziej odpowiadające godności i znaczeniu swemu stanowisko. Lecz na skutki tej, tak nowej u nas reformy wypadnie czekać jeszcze długie lata, nim dzisiejsza ucząca się młodzież wpływ swój na reformę naszych stosunków wewnętrznych systematycznie wywierać będzie.

Na tle tych oczekiwań dalekiej, lepszej przyszłości tem jaskrawiej odbija się działalność naszych organizacji społecznych, które drogą bezpośrednich oddziaływań wytknęły sobie cel bliższy: poprawę warunków naszego bytu przez reformę higieny społecznej, przez doskonalenie szkolnictwa, przez budzenie zamiłowania do przyrody i przy-

rodzownawstwa, przez poznawanie doli i niedoli naszego kraju, jego bogactw i piękna.

Staraniem i zabiegami tych właśnie instytucji otwarta została w ubiegłym tygodniu w Warszawie Wystawa Miast-Ogrodów i Przyrodnicza. Zniosły na budowę jej swe naukowe cegły głównie następujące nasze organizacje:

Towarzystwo Miłośników Przyrody, Towarzystwo Hygieniczne (jako inicjatorowie), Polskie Towarzystwo Krajoznawcze i Stowarzyszenie Nauczycielstwa Polskiego.

Wystawa zajęła obszerny pałacyk Warszawskiego Towarzystwa Ogrodniczego (Bagatela 3), umieszczając w nim bogaty dział Miast-Ogrodów, oraz specjalną, obszerną halę, wybudowaną na przylegającym placu Towarzystwa Ogrodniczego poza ulicą Flory. Już sam wygląd zewnętrzny tak udekorowanego pałacyku na Bagateli, jak i pawilonu Przyrodniczego wymownie świadczą o bogatej treści ekspozycji. Obszerną salę w pawilonie Przyrodniczym zajęł dział krajoznawstwa, zorganizowany przez nasze Towarzystwo Krajoznawcze.

Ekspozycje oddziału krajoznawczego mogą być, tak pod względem rozmieszczenia, jak i pod względem treści podzielone na trzy kategorie:

1. Ilustracje, mapy i tablice.

Dzięki staraniom i pracy dra Ludomira Sawickiego, członka korespondenta Towarzystwa Krajozn. z Wiednia znalazły się tu duże mapy geologiczne, ilustrujące ziemie polskie w okresie lodowcowym oraz rozwój wód słodkich (rzek i jezior) w tym okresie. Dla zestawienia map tych ze stanem dzisiejszym naszego lądu umieszczono obok piękną „Mapę Europy środkowej“ Oskara Sosnowskiego.

Z niezmierną pracowitością wykonane mapy inżyniera Witkowskiego (w czterech sekcjach) ilustrują stosunki hipsometryczne Polski i krajów przyległych.

Dopelnieniem map tych jest piękny miniaturowy przekrój (idealny) skorupy ziemskiej, ilustrujący kolejność i charakter petrograficzny poszczególnych formacji geologicznych.

Ośrodkiem tych prac naukowych i wymownym, aczkolwiek smutnym dla naszych pracowników na niwie krajoznawstwa ojczystego memento jest „Graficzny obraz literatury fizyograficznej Ziemi polskiej za lata 1891—1905“ w starannym opracowaniu profesora uniwersytetu lwowskiego Eug. Romera.

Uzupełnieniem działu naukowego tej kategorii ekspozycji, jest dział „Nasze krajobrazy“ oraz „Z naszych łąk i pól“—przemawiający do poczucia piękna naszej przyrody. Na pierwszy złożył się bogaty zbiór fotografii, charakteryzujących naj-



DZIAŁ POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO.

Fot. M. Wisznicki.



KRUŻGANEK WEWNĘTRZNY W PAWILONIE WYSTAWOWYM.

Fot. M. Wisznicki.

Poza oddziałem Wystawy, specjalnie krajoznawstwu poświęconym, idea poznawania przede wszystkim przyrody kraju ojczystego przebiega i wśród ekspozycji innych: wśród licznych akwariów, terraryów, w dziale szkolnym, nie mówiąc już o takich ekspozycjach pochodzenia i wyrobu miejscowego, jak okazy środków pomocniczych

bardziej typowe i malownicze widoki naszego kraju w wykonaniu J. Bułhaka, M. Wisznickiego, L. Ostaszewskiego i K. Kulwiecia; na drugi zaś złożyły się piękne akwarele M. Wisznickiego, ilustrujące najwybitniejszych przedstawicieli naszej flory łąkowej i polnej. Na stołach, wzdłuż całej ściany rozłożono kilkadziesiąt pięknych gniazd naszych ptaków krajowych z jajami i wypchanymi ich właścicielami.

2. Z życia wód słodkich.

W 30 akwariach umieszczono żywe okazy naszej flory i fauny słodkowodnej. Uzupelnienie ekspozycji żywych stanowi zbiór ptaków pływających i brodzących, okazy zakonserwowane w spirytusie oraz liczny dobór pięknych tablic. Dział ten utworzony został przy czynnym udziale pracującej przy Towarzystwie Krajoznawczem młodzieży.

3. Wydawnictwa własne Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego: pocztówki, książki, przewodniki, odczyty.

Pokaźne miejsce w tym dziale zajmują ilustracje „Ziemi“, rozsegregowane i naklejone na ozdobnym kartonie.

przy nauce przyrody, zebrane i umontowane przez uczniów seminaryum nauczycielskiego ludowego w Ursynowie.

Pięknie harmonizują z okazami krajowymi nie-liczne osobliwe żywe okazy fauny egzotycznej — jak kraby słodkowodne z Kaukazu, skorpiony z Europy południowej i olbrzymie okazy Kaukaskich padalców.

Najbardziej egzotyczny, a raczej unoszący się nad całym naszym globem dział, poświęcony idei ewolucji przyrody, nadaje wystawie ten poważny gest, z jakim filozof-mysliciel wyznacza każdemu jestestwu właściwe do jego „wieku i urzędu“ miejsce i stanowisko w przyrodzie.

Wchodzi się na Wystawę z uczuciem zaciekania, przechodzi się ją kilkakrotnie w podniosłym nastroju piękna i prawdy a opuszcza się ją z żalem, że miasta-ogrody są dla nas dopiero bolesną pieśnią przyszłości, a z zadowoleniem, że wśród ogólnoludzkiej „przyrody“ tak poczesne już miejsce zajęło u nas krajoznawstwo.

Kazimierz Kulwieć



Wycieczka na Świteź.

„Rówienniki litewskich wielkich kniaziów, drzewa

„Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa...

„Pomniki nasze! ileż co rok was pożera

„Kupiecka lub rządowa moskiewska siekiera!...

(Pan Tadeusz).

Niewiem, czy potrafi zrozumieć Polak z dalszych stron naszej ojczyzny uczucie, z jakim my, nowogródzianie wymawiamy nazwę tego jeziora, które naprawdę nie wyróżnia się ani wyjątkową pięknnością, ani rozmiarami pośród innych jezior kraju i poza wspomnieniem Mickiewicza, którym zresztą dzielić się musi z tylu innymi miejscowościami Litwy, nie budzi w umyśle żadnych szczególniejszych wrażeń i odczuć.

A jednak, dla nas Świteź—to poemat i świątynia razem, to tyleż, co Wawel dla każdego serca polskiego. Myśmy wszyscy przeżyli dziecięce lata nasze, sielskie i anielskie życia chwile wśród tych samych „pagórków leśnych“, wśród tych samych „łak zielonych“, co On, krew naszej krwi, kość naszej kości; myśmy Jego ziemi rodzimej synowie, jej plonami wykarmieni, jej powietrzem owiani, jej tęsknicą wykolysani, jej pięknem i poniewierką mający dusze i serca przepelnione...

Dla nas—Świteź nie jest romantycznym tylko wyobrażeniem nieznanego jeziora z konwencyonalnym aparatem księżycowych upiększeń, ani rozdziałem literackiej topografii, określającym miejsce urodzenia i pobytu byłych Świtezianek. Dla nas Świteź—to żywe, ucieleśnione wskrzeszenie przeszłości, ogarniające swym ogromem wszystko: i naszą własną młodość, marzenia i zapęły i minione życie kraju naszego, jego losy, zwyczaje, tradycje, wśród których złotą nicią przewija się młodość naszego wieszczca, który tutaj urodził się, tu przebywał, tu kochał, tęsknił, pragnął, stąd orłem królewskim w świat szeroki uleciał... Świteź dla nas—to wtórne jasnowidzenie Jego niezmierniejszej postaci, to najistotniejsze, nieustanne obcowanie z Jego wielkim duchem, to korne, zachwycone, święte zespolenie dusz naszych i serc z Jego sercem i duszą...

Kto z nas, na błękitnych brzegach Świtezi, z ust matki z zapartym oddechem nie słuchał czarownych baśni i podań, ucząc się wymawiać ze czcią, po Bogu największą, imię poety, który je wszystkie do życia powołał; kto u stóp dębów wiekowych, odbijających na wicherze napór spienionych fal jeziora, pośród dziecięcych igraszek z pobrzeżną trzcina i kamykami, nie poczuł w pewnej chwili tych przedziwnych, niejasnych drgnień

i zachwyceń duszy, otwierającej się na przyjęcie łaskawej, boskiej tajemnicy piękna? Kto w młodości „górną a chmurną“ nie błądził zadumany po lesistych jeziora wybrzeżach, po przez aksami- tne mchy i rdzawe paprocie, przez złoto-zielonych świateł grę, rozsączoną po cienistych lasu zaką- tach barwnym kobiercem, obojętny na rozsypane u nóg jego skarby rozkwieconych leśnych tworów, wpatrzony wnętrzem ducha okiem w cień wieszczca, wyczuwający każdym serca fibrem Jego wszechobecność istotną, żywą, nieomal dotykálną?... Kto z szelestem spłoszonym jeziornego sitowia i różaną ciszą wieczoru i modrych wód ukojeniem przedsemmem nie połączył w swej rozmodlonej duszy w jedną niezapomnianą do śmierci pieśń wszystkiego, co tylko na świecie jest najbardziej pięknego i wzniosłego: pierwszych połotów i uniesień obudzonej duszy, pierwszych boleśnie-rozkosz- nych drzeń serca, spragnionego kochania, pier- szych płomiennych tęsknot za czynem nieświadomym lecz olbrzymim, całą dał przyszłości wypeł- niającym swym tytanicznym rozmachem, tych wszystkich świtających objawień nieśmiertelnej ja- żni człowieczej—razem z umiłowaniem serdecz- nem, z czcią synowską i uwielbieniem bezgranicz- nem dla poety, niewidnie wszechobecnego Ducha jeziora, dla „swego“ poety, który, jak Bóg w nie- biosach, jeden tylko na świecie takim „swoim“ być może dla dziecka tej ziemi!...

Tak—nie z papierowych druków uczyliśmy się poznawać i kochać Mickiewicza, jeno z wielkiej, przepięknej księgi ziemi rodzimej, której wzorzy- ście malowane karty przewijały się przed naszymi oczami codziennie w tysiącznych postaciach nie- zrównanego powabu i czaru, a której pierwszą, najważniejszą i najpiękniejszą kartą była—Świteź.

Ona, razem z całym „krajem lat dziecinnych“

„..... zawsze zostanie

„Święta i czysta, jak pierwsze kochanie...“

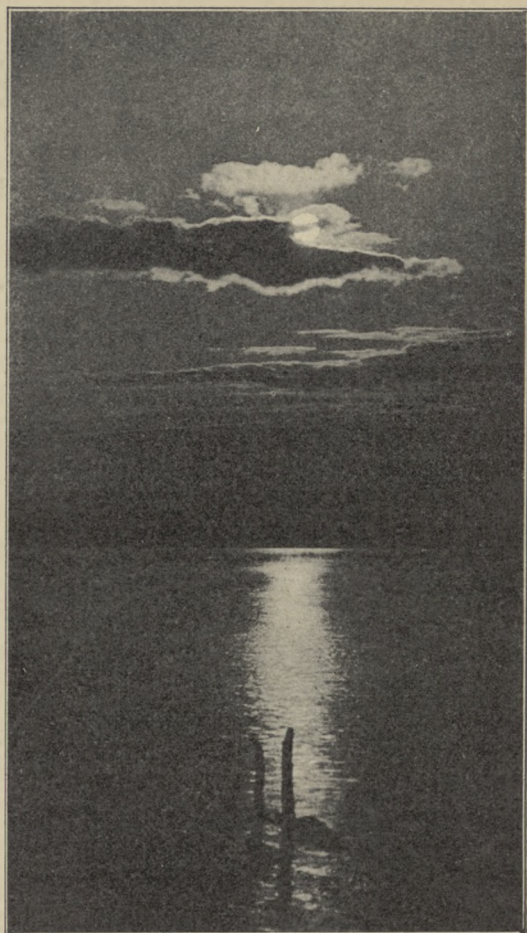
i dlatego jest nam ona czemś więcej, niż drogą i piękną pamiątką—jest nam ona relikwią, ołtarzem, świętością, i taką będzie zawsze, dopóki na tej ziemi będzie biło chociaż jedno polskie serce.

Słońce miało się już ku zachodowi, gdyśmy dojechali do Świtezi i zatrzymali się u wschodnie- go jej brzegu, zwanego Niedźwiedziną. Okalają go łąki niskie i bagniste z rzadkimi kępami drzew



nadbrzeżnych, o charakterze odmiennym niż inne brzegi, prawie wszystkie ocienione gęstym starym lasem mieszanym, pełnym olbrzymich, pięknych dębów i sosen.

Po zmiennym i wietrznym dniu kwietniowym wieczór się wypogodził i na rozjaśnionym zachodzie włożyły się resztki pokłębionych chmur, zdążające razem ze słońcem ku ciemnej linii widnokregu. Świetlista tarcza słoneczna rozplomięła ich sino-fioletowe cielska złotem obrzeżeniem i odbita w cichnącej szybie jeziora, długim słupem drgającej jasności stała się aż do naszych stóp. A na niebie, ponad czarną smugą przeciwległego brzegu, zakwitły coraz nowe rozłogi różanego i purpurowego kwiecia i szły w górę, roztopiając się w leciuchnym, nikłym seledynie błękitu. Jeszcze raz mrugnęła z poza chmurnych rzęs słoneczna źrenica i zgasła w czarnym topielisku lasów. Ponad nimi pociemniała, lecz jeszcze pełna rdzawych i liliowych półtonów, stała zastygła w przestrzeni, nie śmiejącą się poruszyć, zapatrzona w swe wodne odbicie, długa skrzydlata chmura, jak ostatnia łódź znikającej niebieskiej flotyli. Zdawało się, że to rozpostarte, ogromne skrzydło bajecznego ptaka ocienia senne jezioro i zgęszcza wieczorne zmierzchy, chłonące resztki kolorowych świateł zorzy i czarodziejskim zaklęciem usypia modrą równinę wody, pochylone w bezwładnym omdleniu sitowia i sine smugi dalekich lasów... I szepce im ciche, niewiadome słowa, których co wieczór od wieków słuchają w skupieniu te milczące, nieprzejrzane szeregi potężnych, rosohatych, osiwiąłych dębów—wojów, te czarne leśne hufy pancernego rycerstwa, stojące wiernie i mężnie



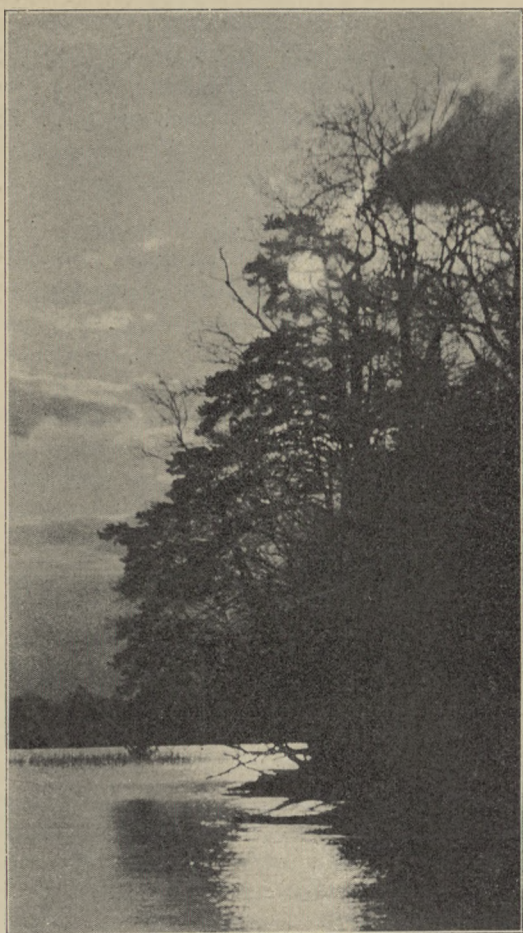
Fot. J. Bułhak.

Ś W I



Fot. J. Bułhak.

przez tyle lat, przez tyle wieków, przez tyle burz gromowych, wrogimi szalejących wichrami, na straży jeziora i powierzonych jego głębiom tajemnych drogocennych skarbów... I drze mią woje w nocnej pomroce, strudzeni twarzą wiekową służbą strażniczą, z mocarną siłą i kamiennym chłopskim



Fot. J. Buthak.

TEŻ.

uporem wra-
stają palcz-
stymi korzeni-
mi w głąb ro-
dzimego grun-
tu, zwartemi
wiecowemigro-
madami opasu-
ją dookoła je-
zioro, broniąc
doń przystępu
wszystkiemu,
co obce i wro-
gie... I śnią od-
wieczne sny
minionej chwa-
ły, mocy, zga-
słego piękna,
cudu baśni wi-
dziadlaną snu-
ją, a takich peł-



Fot. J. Buthak.

ną czarów i dziwów i uroków, iż dla niej w ludzkiej mowie—niema słów!...

A kiedy słońce wstanie promieniste i na jezioro wiatry — gońce wyśle swe poranne, zaszumią dęby—woje obudzone z pobożnym pacierzy szepcaniem swój hymn bojowy, przeciągły, głęboki, podziemny, szumno rozlewny, i mężnie, pierś przy piersi staną znów czarnemi zastępy w obronie swego tajemnego skarbu, od wieków i przez wszystkie wieki, które przyjdą...

.....
Już księżyc osrebrał wodę, gdyśmy wracali do czekającej nas bryki około Królewskiej kąpieli.¹⁾

„A wie pan — przerwał milczenie mój towarzysz—że cały las na Pieszczance przeznaczony jest na wyrąbanie? Widziałem na własne oczy plany Komitetu leśnego, zatwierdzające wyrąb, a po terażniejszym właścicielu trudno się spodziewać, ażeby nie zechciał oszpecić Świtezi do reszty, zwłaszcza skoro mu się to opłaci“...

Więc rozpoczęliśmy jedną z tych znanych i częstych u nas rozmów, gdzie miłość i cześć dla tej naszej pamiątki splata się z krwawym wstydem niemocy, gdzie nadzieję zachowania sprofanowanych jej resztek rozbija brutalna dłoń rzeczywistości, naigrawająca się z tych bezsilnych szamotań coraz nowem pohańbieniem utraconej świętości.—Takeśmy mówili, sycąc się goryczą; wstydem i bezotuchą,—za siebie i za wszystkich rodaków. Gdy nagle—zdławione przekleństwo, nieludzko-dziki okrzyk:

¹⁾ Miejscowość na brzegu „zwanym Pieszczanką“.



„Już rąbią! już wyrąbali!...“

Przed nami, w niepewnym księżycowym porbrasku—bieleją ścięte pnie—leżą zwaly najstarszych dębów—połamane, zdruzgotane młodniaki—usłane trzaskowiskiem i gałęziami mchy pobrzedne—wśród leśnej gęstwy widnieją coraz szersze, zdradzieckie luki i bezwstydnie obnażone polany, ziejące pustką, bezładem, zniszczeniem—martwo prześwieca księżyc po przez najbliższe brzegu dęby, jeszcze nietknięte, ale już na zagładę skazane, już piętnem śmierci naznaczone bezmyślnie chciwą ręką obcych przybyszy. Znieruchomiełe w kamiennym milczeniu nocy, stoją posępnie niedobitki w boleści i przerażeniu...

Gdzież wasza odwieczna strażnica, o dęby —

woje mocarne, gdzie boża służba obronna przy skarbie jeziora zaklętym, gdzie wasze szumy bojowe, gdzie wasze czoła podniebne, wasze koronne szyszaki i ramion niezłomnych oploty?... Zwalone, wbite w proch ziemi, żywcem poćwiartowane, plugawym toporem hańbiącej wydane kaźni.

Z niewymowną grozą i pogębieniem w duszy uchodzimy czemprędzej z tego okropnego pojowiska, ażeby nie patrzeć, nie myśleć, zapomnieć o tej zbrodni, o tej mogile, o tych trupach...

Ale kto raz je widział, ten nie zapomni — nigdy.

Jan Bułhak.



Przyczynki do dziejów ogrodnictwa polskiego.

W końcu r. 1907 śmierć zabrała nam człowieka, który przez lat kilkanaście z nieporównaną benedyktyńską pracowitością i sumiennością, z zaparciem się własnych potrzeb gromadził materiały do dziejów ogrodnictwa w Polsce. Był nim p. Józef Drège, autor bardzo cennej rozprawy o ogrodnictwie polskiem, pomieszczonej przed kilku laty w Wielkiej powszechnej encyklopedyi illustrowanej. Historiy ogrodnictwa w Polsce nie mamy opracowanej dla tej prostej przyczyny, że aby napisać takie dzieło, potrzeba pierwej wyczerpać materiał choć nie bogaty, ale bardzo rozrzucony w całym polskiem piśmiennictwie drukowanym, a niezależnie od tego przewertować setki archiwów i tysiące dokumentów prywatnych z dawnych stuleci, gdzie napotykane są rozmaite luźne szczegóły i wiadomości, takie np., jak podany przez nas w Kronice Rodzinnej (r. 1893) opis Ogrodu oszczepalińskiego z początku XVIII wieku. Podobnej właśnie pracy z bezgranicznem jej umiłowaniem a dużym zasobem wiedzy i krytyki naukowej oddał się ś. p. Drège, któremu też z prawdziwą rozkoszą otworzyłem do spożytkowania archiwum moje w Jeżewie i przez lat dziesięć udzielałem wszystkiego, co w łączności z jego pracą napotkałem gdziekolwiek podczas moich poszukiwań do Encyklopedyi staropolskiej i Budownictwa drzewnego dawnej Polski.

Dziś, gdy pracownika tego nam zabrakło, byłoby wielce pożądane, aby które z naszych czasopism przyjmowało stale do druku „przyczynki do dziejów ogrodnictwa polskiego“, o ile tak-

we kto napotka: w dawnych archiwach, papierach rodzinnych, rzadkich książkach i starych ogrodach, w różnych zakątkach kraju naszego. Nie wątpimy, że tylko tym sposobem da się jeszcze wykryć i uratować dużo cegiełek, bez których najpracowitszy badacz nie zdoła później zbudować dziejów ogrodnictwa polskiego.

Dziś na próbę niech nam wolno będzie podać to, co znajdujemy w tej chwili pod ręką. A więc najprzód ze źródeł drukowanych leżą przed nami pamiętniki Jana Chryzostoma Paska: „Pani Sułkowska w Głuchowsku pod Rawą—pisze nieporównany nasz pamiętnikarz—najbardziej żaliła się o brzezię, którą sobie miała za wirydarz, zaraz po de dworem, a wycięto ją do obozu (króla Jana Kazimierza w r. 1665) na szałas. Więc gdy król wjeżdżał na dziedziniec do Sułkowskich, jejmość przybliżywszy się przeciwko niemu, klęknie, ręce złożywszy ku niebu podniesie i mówi: „Panie Boże sprawiedliwy, jeżeliś kiedy różnemi plagami karał złych, niesprawiedliwych królów, wydzierców, szarpaczów, dziś pokaż sprawiedliwość swoją nad królem Janem Kazimierzem, za te wszystkie krzywdy, które my ubodzy cierpimy i całe królestwo“. Mąż jej gębę zatyka, a ona tembardziej mastykuje. Król nazad do wrót, gospodarz skoczy, prosi, strzemia się chwytą: „Żadnym sposobem; złą macie żonę. Panie, nie chcę, nie chcę!“ Pojechał. Przyjechawszy do Rawy, król w śmiech, królowa w gniew. Tedy była tak rezolutna owa baba (Sułkowska), że nałajawszy, przyjechała nazajutrz i prosiła o audyencyę, kazawszy o sobie powie-



dzień, że ta szlachcianka, do której domu król Jęgo Mość nie chciał z konia zsiść, prosi żeby się mogła pokłonić. Był tak pocziwy król, że ją zaraz kazał puścić. Omówiła się, że to musiała uczynić z żalu, mając szkody poczynione, a najbardziej żaliła się o brzezinę, którą sobie miała za wirydarz". Altanę nazywa Pasek, jak zwykle dawniej mówiono, chłodnikiem: „kiedy mi zbudowano—pisze—chłodnik przed namiotem z brzoźowego chrustu"... O folwarku porządnie zagospodarowanym mówi: „budynki dobre, sady poszczone, lasy zapuszczone". To się znaczy, że w sadach nie było dzikich grusz i jabłoni, ale tylko szczepione, a lasy były zalesione.

W rękopiśmiennym inwentarzu dóbr Siemianic z r. 1694 w Wielkopolsce znajdujemy: „Ogrody za budynkiem pańskim (t. j. dworem): pierwszy, do którego w parkanie drzwi z tarcic na zawiasach i hakach z wrzeciędzem i 2 skoblami, tamże uwrociami idzie drzewina rodzajna różna. Tamże zasianych zagonów marchwi 8, pasternaku 4, prosa 6, lnu zagon 1, konopi 12, kapusty zasadzonych zagonów 13. W tymże ogrodzie chmielu sztreka, uwrocia na trawę niemałe i w kącie ode wsi drzewa wiśniowego dostatek. Za oborą

chmielnik, od podwórza żerdziami ogrodzony, w którym jest chmielu sztreka niemała, tamże cebule sadzonej ćwierć zagona, cebule i marchwi po zagonie, rzepy sadzonej zagonów dwa. Trzeci ogródek przy gumnie, w którym maku zasiano zagonów trzy. W Rakowie ogród za stodołami wkoło otyniony łatami, w którym jest dębów wielkich kilkanaście i uwrocia dosyć wielkie na trawę. W ogrodzie tym jest konopi zagonów 18, marchwie zagonów 12, jęczmienia 16, kapusty zasadzonej zag. 15. Drugi ogródek przed oborą, w którym cebule zasadzonej zag. 2, maku zag. 4. Trzeci ogródek, w którym jest zasianego pasternaku za marchwią zag. 11. Był jeszcze jeden ogród w Siemianicach, w którym było: marchwie zagonów 13, kapusty zag. 20, konopi zag. 2 i prosa zag. 4".

Gdyby archiwa domowe były po dworach wiejskich tak szanowane, jak w Siemianicach, skąd powyższy dokładny opis inwentarza z r. 1694 otrzymaliśmy, to dałyby się odtworzyć ciekawy obraz ogrodnictwa ojczywego we wszystkich prowincjach dawnej Polski z czterech ostatnich wieków.

Zygmunt Gloger.



Sven Hedin w Tybecie.

7)

Dzień 20 października 1906 r. był dniem ciężkim—to pewna. Śnieg pokrył ziemię trzycalowej grubości warstwą, rażąc oczy swoim oślepiającym blaskiem. Tego dnia przejść trzeba było wysoką przełęcz, a Robert, który poprzedniego dnia chodził w zastępstwie chorego Mahmuda Izy na zwiady, twierdził, że na południowy zachód od niej ciągnie się znowu kraj równy i płaski. Niestety Mahmud Iza wybrał wóz, idący zamiast na pld. wschód, bardziej ku północy i okazało się, że za pierwszą przełęczą leży druga i że droga bynajmniej nie jest wygodna. W dodatku brak było wody i choćby najlichszej trawy.

Przeto nocleg był przykry. Pod sam wieczór wyszły na najbliższy obozu pagórek dwa wielkie yaki, patrząc ze zdziwieniem na nieznanne stworzenia, które przyszły zakłócać spokój pustyni. Ale że mięso ich jest mało zdatne do użytku, zostawiono je w spokoju i wkrótce zniknęły w ciemnościach.

Dopiero następnego dnia przeszła karawana drugą przełęcz. O czwartej po południu już się nawet zaczęło układać do spoczynku, gdy wtem

przyszła Mahmudowi Izie niefortunna myśl do głowy, żeby skorzystać z resztek światła i przebić się przez wzgórza na płaszczyznę. Jakoż po chwili karawana ruszyła w drogę, zostawiając Hedinowi tylko dwa muły, które się wzbraniały iść dalej.

Ale zły to był pomysł i ciężka noc. Mróz ścisnął tak mocny, że jeden z mułów padł zaraz o północy, drugi zaś doczekał wprawdzie dnia, ale wstać z ziemi nie miał już chęci czy siły. Jeden z czterech pozostałych przy Hedinie Ladaków musiał mu zatem dla skrócenia cierpień poderznąć gardło, ale nawet tryskająca na śnieg ciepłym strumieniem krew, nie wyrwała biednego zwierzęcia z zadumy. Właśnie wschodziło słońce i w jego chłodne jeszcze promienie wlepił muł oczy, pełne spokoju i przedsmaku wiecznej błogości.

Ale zanim ta szczupła gromadka zdążyła ruszyć ku karawanie, nadbiegł posłaniec Mahmuda Izy, niosący hiobowe poprostu wieści. W piekielnych ciemnościach i w labiryncie wąwozów karawana rozpadła się na części, które się wnet pogubiły. Konie poszły na lewo, muły na prawo,



YAK.

całe zaś stado kóz i baranów zginęło gdzieś zupełnie bez wieści. I co najgorsze: znów cztery muły padły.

Tego było na jedną noc nadto. Jeżeli tak pójdzie dalej, to niezadługo wyginie i reszta zwierząt i trzeba będzie nieść pakunki samemu. Ale że daleko tak się zająć nie da — to pewna. A wreszcie gdyby nawet dojść do pierwszych osad ludzkich, to w takim stanie wyniszczenia i upadku będzie się łupem pierwszej lepszej bandy Tybetańczyków i o przemknięciu się w głąb kraju niema co marzyć. Zaprawdę słusznie na swoich mapach odbytą drogę zaznaczył Sven Hedin czerwoną linią: krwawa to była, cierniowa droga.

Dzień cały i noc następna zeszły na poszukiwaniach. Mahmud Iza z dwoma ludźmi spędził noc w szczerem polu, nie mając do jedzenia i picia nic, oprócz śniegu, który ciągle sypał, ale nareszcie nad ranem udało się jako tako spędzić wszystko na punkt zborny.

Jak zwykle trzeba było zacząć od jeneralnego przeglądu zwierząt. Nie licząc 4 kandydatów do śmierci, było już tylko 18 mułów i 19 koni. Zatem przedewszystkiem precz z tem wszystkim, co nie jest niezbędnie potrzebne do życia. Worki, sznury, niektóre sprzęty kuchenne, podkowy, których teraz było za dużo zgromadzono na jeden ogromny stos, dorzucono opróżnione skrzynki i spalono na miejscu. A i tak nie można było iść dalej, póki się dwóch dni conajmniej nie wypoczęło u stóp czerniących się od północy gór, których przejście tak drogo kosztowało. Było to obozowisko Nr. 48.

Jedyną pociechą były ślady ludzi, które zaraz za nim zaczęto napotykać po drodze. Tu były jakieś resztki ogniska, gdzieindziej sztucznie ułożony mur dla ochrony od wiatru, jeszcze dalej czaszka muła, najwidoczniej odcięta nożem. Zatem znalezienie nomadów mogło być już kwestyą czasu niezbyt długiego, ale co przyniesie takie spotkanie było ciągle niepokojącą zagadką. Tymczasem biegła wyniszczona i znędzniała karawana od noclegu do noclegu, jak gromadka myszy polnych, która szuka miejsca, żeby się choć trochę ukryć przed wichrem.

Bo jedną z najcięższych do zwalczenia przeszkód było zimno i wiatr. Chwilami tak kostniały Hedinowi ręce i nogi, że nie tylko ledwie z najwyższym wysiłkiem mógł rysować, ale i z konia zsuwał się niemal bezwładny. I pewnego wieczoru czuł się tak przeraźliwie skostniały i przemarznięty, że przyjechawszy na nocleg, rzucił się bezwładnie tak jak stał w ubraniu, w butach, w futrze na łóżko, chroniąc się przed zimnem, które mu już beżmała odbierało przytomność.

Dziko i ponuro wył wicher, syjący śniegiem, temperatura spadła jak codzień w nocy do $-26,6^{\circ}$, zato nieszczytny podróżnik miał $41,5^{\circ}$. Zatem zdeklarowana febra, na bezładnej bezbrzeżnej pustyni, bez ludzi, których niewiadomo kiedy się spotka i którzy zresztą pomocy nie dadzą. Na szczęście chorego opuściła przytomność i nie miał możliwości rozmyślać i zagłębiać się w położenie, istotnie niebardzo godne zazdrości.

Tyle tylko pamiętał, że przy łóżku przez całą noc siedział Robert, że tuż obok żarzyły się węgle, od których na całe wnętrze namiotu padał krwawy, migotliwy odbłask, i że z tem posępnem oświetleniem walczył płomień świecy, wstawionej dla ochrony przed wiatrem w pustą skrzynię.

Tak przeszła noc i cały następny dzień. Nad ranem gorączka nieco spadła, ale osłabienie było tak wielkie, że nie mogło być mowy o dalszej podróży. W obozie było cicho, bo Ladacy nie chcieli sahibowi dokuczać głośną rozmową, tylko wicher wył ciągle w jednostajnych, niepohamowanych porywach. Pod wieczór Hedin kazał ludziom śpiewać jak zwykle, ale posępne tony ich pieśni mieszały się ciągle i ginęły w pogwizdach wiatru.

Tak przeszło 84 godziny. Robert, który, jak później się przyznał, przechodził chwile śmiertelnego strachu i nie mógł sobie wyobrazić, co będzie, jeśli Hedin tu zamrze, prawie nie wstawał od łóżka, to czytając jaką powieść, to zagłębiając się, jako dawny pomocnik szpitalny w podręczniku lekarskim i grzebiąc w apteczce podróźnej. Tsering i Rechim Ali stosowali znów jakiś azyatycki masaż, mający służyć ku podniesieniu sił.

Już sześć dni bezustanku trwała burza. Widocznie zaś jakiś tybetański bożek wiatrów osądził, że wiatr, który przez sześć dni niezmordowanie pracował, siódmego ma się stać — orkanem. Bo nagle zaczęły się walić na obóz takie tumany zmarzniętego piachu, śniegu i żwiru, że ludzie wyglądali jak posypani popiołem, a wnętrze namiotu zasypał w mgnieniu oka kurz i piasek.

Nie chcąc narażać całej karawany na dalsze cierpienia, postanowił wówczas Hedin, że Mahmud Iza z całym obozem ruszy naprzód, pozostawiając kilku ludzi do opieki nad chorym. Ale później w chwili rozstania przyszedł jakiś tak mocny wstręt

do dłuższego pozostawania w tem zapowietrzonym febrą legowisku, że zwłókszy się z łóżka, i włożywszy na siebie całą swoją bezmała garderobę, kazał się Hedin wsadzić na konia i ruszył za karawaną. Coprawda nie obliczył się dość dobrze z siłami i po kilkakroć o mało co nie zsunął się z konia, ale ostatecznie z najwyższym napięciem woli udało mu się pod wieczór dojechać do miejsca, gdzie świeciły ogniska obozowe.

I jakby w nagrodę za ten wysiłek zaczęły się niebawem mnożyć coraz świeższe, coraz pewniejsze ślady ludzi. 5 listopada znaleziono ognisko, którego popiół ostygł przed kilku zaledwie dniami; obok leżały kości zabitego yaka, a znajdujące się w pobliżu wały ziemi i doły ludzką ręką kopane, zdradzały niedawną obecność poszukiwaczy złota. Odjechali oni stąd, boć teraz, kiedy ziemia była tak zmarznięta, że wbijane w nią koły żelazne gięły się i skręcały jak cienkie druty, nie można było kopać dolów, ale tem niemniej przeto były to świeże ślady ludzi, którzy tu przebywali napewno.

Tuż obok tryskały ciepłe źródła o temperaturze 14^o i kilka metrów naokół ziemia była pozbawiona śniegu, dalej natomiast trudno ją było odróżnić od głazu.

Tutaj i tegoż dnia urzędowy strzelec karawany Tundup Sonam zabił znowu wielkiego yaka. Przyszło ich całe stado do źródeł i po pierwszym strzale pierzchnęły wszystkie w nieładzie z wyjątkiem tego jednego, który będąc już ciężko ranny rzucił się z wściekłością na strzelca. Na szczęście Tundup nie chybiał nigdy i druga wprost w serce wymierzona kulka zwała napastnika na ziemię. Olbrzymie jego, czarne zupełnie cielsko odbijało się ciemną plamą od czerwonej barwy gruntu, a tak był ciężki, że ledwo dwunastu ludzi mogło go z trudem poruszyć.

W dwa dni później jednak zaszła przygoda, która o mało co smutnie się nie skończyła. Hedin z Robertem dojeżdżali już właśnie do obozu, Rechim Ali towarzyszył im pieszo. Między nimi i obozowiskiem pasł się w pobliżu mułów i koni ogromny yak, do którego nagle z namiotu Muhameda Izy padł strzał. Trafione widocznie zwierzę zatoczyło ogromne półkole i zawróciwszy się niespodzianie, runęło wprost na przerażoną gromadkę. W pierwszej chwili można było przypuszczać, że yak pójdzie bokiem, ale kiedy ten, nie zbaczając ani na cal z drogi, sadził wciąż ogromnymi susami i zbliżał się z błyskawiczną szybkością, nie było innej rady, jak spiąć konie i gnać, co tchu starczy w piersiach w przeciwną stronę.



NAPAD YAKA.

Nawpół żywy Rechim Ali, uczepiwszy się końskiego ogona, wydawał niezrozumiałe okrzyki i już, już rozszalały byk miał wziąć hedinowego konia na rogi, kiedy nagle zawrócił znowu na miejscu i rzucił się na Rechima Aliego. Ochłonięwszy ze strachu i rozejrzawszy się wkoło dostrzegł Hedin, że yak pędzi na pustynię, a na ziemi leżą zwłoki Aliego. Tak mu się przynajmniej w pierwszej chwili zdawało, bo kiedy się do niego zbliżył z Robertem, rozległ się jednak drżący głos biednej ofiary: „dajcie mi pokój, ja już i tak nie żyję“. No, jeśli tak, to już tylko trzeba go było prędko podnieść, zanieść do namiotu i cieszyć się, że oprócz oszołomienia i bezmała utraty przytomności, które trwały kilka dni, przygoda skończyła się tak szczęśliwie.

Tym sposobem było w obozie dwóch rekonwalescentów, bo i Hedin wciąż jeszcze musiał kłaść się już o 7-ej do łóżka i ku zmartwieniu kucharza Tseringa ciągle był pozbawiony apetytu. Na szczęście pomimo posuwającej się zimy temperatura nie spadła niżej 27—28,° może dlatego, że karawana szła teraz drogą, prowadzącą wprost na południe.

A nareszcie 10 listopada dostrzeżono pierwszą ludzką osadę i znaleziono w niej ludzi. Niewielka była z tego pociecha, bo była to tylko jakaś kobieta, której obaj mężowie wyszli z domu przed kilku dniami. Ona sama z rodzicami, którzy mieli przybyć niebawem, spędzi tu całą zimę. Wiadomości geograficzne jej były dość szczupłe, dziwiła się jednak, że karawana wybrała taką odludną drogę, chcąc dotrzeć do wnętrza Tybetu.

Było to w 76 dni po wyjściu z Pobranu przy obozowisku Nr. 55. Straszną, półtrzecia miesiąca trwającą drogę miało się za sobą i bądź co bądź wchodziło się w kraj zaludniony. Niepewna, może groźna przyszłość stała u progu.

(c. d. n.)

St. Th.

Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



Komisyja etnograficzna Polsk. Tow. Krajozn. ogłasza następującą odezwę w sprawie projektowanej „Wystawy Zdobnictwa ludowego Polskiego”.

Rozwój kulturalny każdego narodu płynie niejako dwoma łożyskami. Przdodujące warstwy społeczeństwa pozostają pod wpływem międzynarodowych pierwiastków, wplecionych do ogólnego dorobku cywilizacyjnego,—natomiast warstwy ludowe, szczególnie rolnicze, stojąc jeszcze w pewnym oddaleniu od wielkomiejskich kuźnic kultury współczesnej żyją życiem własnym, zamkniętym. Pomysły do swej samorodnej twórczości, w zakresie zadowalania rosnących potrzeb i aspiracji kulturalnych, warstwy te snują z pierwotnego wątku własnych, lokalnych i odwiecznych cech i odrębności.

Te właśnie, przechowane w żywej tradycji ludowego istnienia, cechy i odrębności—wzięte za punkt wyjścia twórczości artystycznej, pozwalają narodowi wnieść nowy, własny pierwiastek do skarbcza ogólnoludzkiego; pozwalają mu wziąć udział w zbiorowej pracy twórczej, z zachowaniem osobowości własnej.

W biegu rozwojowym życia narodu fala kultury międzynarodowej rozlewa się coraz szerzej i przenika coraz głębiej, pchana siłą konieczności ekonomicznych,—ramy zaś samorodnej twórczości ludowej kurczą się. Twórczość ta, tracąc wartość życiową, nie traci jednak swego znaczenia jako naturalny punkt wyjścia dalszych faz rozwojowych i staje się przedmiotem badań naukowych. Etnografia—nauka, stojąca właśnie na straży czystego rodzimego dorobku kulturalnego—mało ma dotąd u nas pracownikóv,—materiału zaś zastępującego na zbadanie i przechowanie wciąż ubywa.

Tow. Krajoznawcze, uznając ważność badań etnograficznych, utworzyło specjalną sekcję, badaniom tym poświęconą, obecnie zaś przystępuje do zorganizowania wystawy p. t. „Wystawa Polskiego Zdobnictwa ludowego”.

Stworzenie pełnego obrazu ziem polskich pod względem etnograficznym wymaga długiego czasu wobec olbrzymiego a rozproszonego materiału;—Polsk. Tow. Krajozn. zakresliło sobie narazie plan ciałniejszy. Pragnie ono zobrazować na wspomnianej wystawie tylko jedną dziedzinę życia ludowego,—jego twórczość artystyczną—a więc zgrupować w okazach to wszystko, co może dać pojęcie o zmyśle estetycznym ludu, o jego upodobaniach, stopniu biegłości w sztuce plastycznej i o jej charakterze. Dla osiągnięcia tego celu potrzebne są następujące okazy ze wszystkich okolic naszego kraju:

1. Z budownictwa: przedewszystkiem dobre modele około 1/2 metrowej wysokości, lub dokładne rysunki kościołów i kaplic wiejskich, kapliczek cmentarnych, oraz przydrożnych i daszków nad studniami, zbudowanych z drzewa lub murowanych, o ile te budowle są niewątpliwie pomysłem i dziełem budowniczych (t. j. murarzy i cieśli) ludowych.

Również pożądane będą wizerunki budowli świeckich, t. j. domów, karczem, bram ozdobnych i t.

p., o ile są godne uwagi, jako utwory popisowe i oryginalne budowniczych wiejskich.

2. Ze snycerstwa: krucyfiksy, figurki świętych, figurki ludzkie i zwierzęce, rzeźbione z drzewa, lub ulepione z gliny i wypalone; drewniane sprzęty, (stołki, skrzynki, misy i t. p.) ozdobnie rzeźbione i podobnie narzędzia (toporki, laski, biczyśka i t. p.) Wszystko to w okazach naturalnych. Ozdoby zaś rzeźbione na częściach domu, t. j. na belkach, odrzwiach i t. p. w rysunkach wiernie zdjętych.

3. Z malarstwa: Wszelkie obrazy układu i i pędzla autentycznie ludowego, religijne i świeckie, olejne, klejowe i wykonane farbami wodnymi, w okazach oryginalnych.

4. Wzory rysunku ornamentacyjnego pomysłów wyłącznie ludowych, wykonane haftem, naszywaniem, lub przetkane na płótnie, suknie i wszelkich tkaninach wełnianych, w okazach oryginalnych oraz wycinanki, pisanki, okazy pieczywa ozdobnego i t. p. Również woryginalne mają być przysłane naczynia gliniane polewane i niepolewane, a ozdobione rysunkiem malowanym lub wyciskanyv. Rysunki zaś ozdobne (freski ludowe) na ścianach, gzymsach i odrzwiach izb wewnątrz i zewnątrz tychże, mogą być przysłane w kopiach.

Również pożądany byłby dla wystawy zbiór okazów autentycznych odzieży powszechnie używanych, a przysłanych woryginalie lub w rysunkach i jak najwierniejszych podobiznach, któryby dawał dokładny obraz wszystkich właściwości w ubiorze ludu wiejskiego danej okolicy, również jak ludu mieszczańskieg o tyle, o ile tenże zachował w swym stroju tradycyjną starodawną oryginalność,—a więc:

1. Ubiorv kompletne, powszednie i świąteczne, letnie i zimowe, noszone przez mężczyzn starszych i parobków, przez kobiety zamężne i dziewczęta, a nawet ubiorv dziecięce, a to nie wyłączając żadnej części ubioru, od nakrycia głowy do obuwia.

2. W razie niemożności dostarczenia ubiorów kompletnych, należy zastąpić je zbiorem jak najliczniejszym i najrozmaitszym tych części pojedynczych ubioru, które swym kształtem, krojem, ozdobami, barwą lub materiałem cechują najbardziej stroje ludowe tej okolicy.

W dodatku zaś do tego zbioru, uzupełnić go należy zbiorem rysunków kolorowanych (choćby wcale nie artystycznie, byle najwierniej wykonanych).

Do współdziałania w pracy około gromadzenia okazów na Wystawę Polskiego Zdobnictwa ludowego Tow. Krajoznawcze wzywa wszystkich, którym kultura rodzima nie jest obca i obojętna.

Termin Wystawy projektowany jest na miesiąc luty 1911 r. Wszystkie pisma proszone są o powtórzenie tej odezwy.

Projektowana przez Oddział kujawski wycieczka do Poznańskiego i Prus wyrusza z Włocławka d. 26 czerwca o godz. 7 rano.

Wycieczka odbędzie się według następującej marszrutv:

Włocławek, Wieniec, Osłęciny, Płowce do Piotrkowa Kujawskiego (pierwszy nocleg) i dalej—końmi do przewozu przez Gopło.

Od przewoźu przez Gopło do Kruszwicy statkiem; z Kruszwicy do Inowrocławia, Gniezna i Poznania—koleją.

Dnia 29 b. m. uczestnicy warszawscy stawić się muszą we Włocławku najpóźniej w sobotę dnia 25 b. m. wieczorem.

Powrót przez Toruń również koleją.

Cena biletów:

Dla członków Polsk. Tow. Krajozn.	10 rb.
„ wprowadzonych gości	12 „
„ młodzieży	8 „

Członkowie P. T. K., życzący sobie wziąć udział w wycieczce tej z Warszawy, mogą nabywać bilety w kancelaryi Towarzystwa (Aleje Jeruzolimskie 29) do wtorku d. 21 b. m. włącznie.

Z Suwałk dnia 22 czerwca r. b. wyruszają 2 wycieczki krajoznawcze, wyróżniające się śmiałością i zakresem programu:

1. W pierwszej z nich weźmie udział 12 osób młodzieży pod kierunkiem prof. Z. Niklewskiego i H. Kwiczali; wycieczka wyruszy łodziami z jeziora Wigierskiego, uda się Czarną Hańczą do Kanału Augustowskiego i następnie Kanałem, Biebrzą, Narwią i Wisłą do Warszawy oraz dalej Wisłą do Płocka, Włocławka i Ciechocinka. Powrót na Łowicz i Warszawę koleją i pieszko. Droga wodą wyniesie około 300 wiorst. Koszt obliczono po 16 rb. na osobę.

2. Druga wycieczka, biorąc za punkt wyjścia też same jezioro Wigierskie, uda się w łodziach Czarną Hańczą przez puszcę Perstuńską do Niemna i Niemnem do Kowna. Z Kowna koleją do Wilna, z Wilna na łodziach Wilią i Niemnem do Jurborga. Powrót koleją i pieszko. Koszt wycieczki—10 rb. od osoby. Droga wodna około 400 wiorst. Uczestników 15 młodzieży pod kierunkiem prof. Kuczewskiego.

Wycieczka do Serocka i Zegrzynka. Dnia 12 b. m. o 7 m. 50 rano ze stacji Warszawa-Most ruszyło 67 osób kolejką do Jabłonny. Tam już czekały zamówione omnibusy, a przy nich, jak wieść lecąca naprzód, p. Hildebrand z rowerem Nr. 1. Omnibusy ruszyły szpako, „Wieść“ pomknęła płacić mostowe na Bugo-Narwi. W Serocku oczekiwali, czyniąc honory domu, na wycieczkę Dr. Antoni Kędziński, który zaprowadził ją do wałów dawnych fortyfikacji napoleońskich na brzegu Narwi, a stamtąd do miejscowej szkoły. Tu wycieczka rozsiadła się po ławach szkolnych, a dr. Kędziński opowiedział historię miasta i jego budowli. Następnie udano się do kościoła, gdzie w dalszym ciągu uprzejmy gospodarz prowadził swój wykład. Z cmentarza kościelnego, a lepiej jeszcze z balkonu plebanii podziwiano okolice, gdzie na zieleni łąk wyraźnie kresliło się połączenie Bugu z Narwią. Po krótkim spoczynku udano się przez ogród doktora, który u furty żegnał się z wycieczką, nad brzeg Narwi, i tą malowniczą drogą do Zegrzynka, gdzie czekał na gości p. Szaniawski właściciel tej posiadłości i gdzie odpoczęto oraz posilono się w cieniu przepysznych drzew. Następnie udano się do parku radziwiłłowskiego w Zegrzu, ponieważ jednak administracja nie zawiadomiła służby, przeto z pod bramy parku cofnięto się

do czekających omnibusów, które posunęły się ku Jabłonnie, a o 9 m. 30 stanęła wycieczka na st. Warszawa-Most, pełna zadowolenia i wdzięczności dla uprzejmych gospodarzy d-ra Kędzińskiego i Szaniawskiego.

O przebiegu pogody w miesiącu maju 1910 r.

(sprawozdanie *) wydziału meteorologicznego przy -- Polskiem Towarzystwie Krajoznawczem). --

Początek i środek miesiąca sprawozdawczego odznaczały się ciepłym przebiegiem pogody, a temperatura była niemal stale wyższa od normalnej; około 18 maja nastąpiło niewielkie oziębienie, które utrzymało temperaturę poniżej normy do końca miesiąca.

Najwyższe temperatury dochodziły parokrotnie do 30° C. w cieniu; przymrozków, które występowały w początku maja w niektórych miejscowościach Europy Zachodniej, u nas nie notowano. Temperatury najniższe nie przekraczały 2° C; temperatury średnie miesięczne wahały się około 15° C. i były blisko o dwa stopnie wyższe od odpowiadających wartości normalnych.

Wiele miejscowości zostało nawiedzonych przez burze, w niektórych okolicach dość gwałtowne; zdarzały się także i grady, zresztą drobne i nieszkodliwe.

Rozkład opadów w maju 1910 roku wykazuje sumy miesięczne poniżej 30 milimetrów w większości powiatów ziemi lubelskiej i siedleckiej; opady powyżej 50 mm. notowano w kieleckim i w suwalskim oraz w powiatach północnych ziemi płockiej i łomżyńskiej. Silne deszcze charakteryzowały także okolice Łęczycy.

Rozkład opadów był nierównomierny: z 12 przeciętnie dni z opadem prawie 9 dni deszczowych należy do pierwszej dziesięciodniówki maja.

Wysokość przeciętna opadów za maj 1910 roku wynosi 45 mm., spadłych w ciągu 12 dni. Dla poszczególnych terytoriów Królestwa występują wahania od 56 mm. średnio dla ziemi kieleckiej do 30 mm. dla lubelskiego.

Spostrzeżenia ze stacji meteorologicznych, założonych przez Polskie Towarzystwo Krajoznawcze dla zbadania Gór Świętokrzyskich, opiewają:

Tabela meteorologiczna.

a) Temperatura:
Nowa Średnia miesięczna 14,0°; Max. 25,6 (w dn. 17)
Słupia Min. 3,5 (w dn. 23)

b) Opady:

	Suche- dniów	Nowa Słupia	Bielskiy	Św. Krzyż
Wysokość w milimetrach:	67,6	58,9	52,5	64,6
Liczba dni z opadem:	12	11	10	12



*) Sprawozdanie powyższe o przebiegu pogody jest opracowane na zasadzie spostrzeżeń, nadesłanych przez nieliczne dotąd stacje Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego oraz obfitszego materiału, posiadanego przez Biuro Meteorologiczne przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie.

Nowe książki.

Bernard Chrzanowski.—*Na Kaszubskim brzegu. Poznań, 1910, str. 106 + III z 6 krajobrazami i mapą; czysty zysk przeznaczony na kaszubski fundusz sekcji oświatowej „Straży”.*

Zbyt skromnie uprzedza w przedmowie autor, że dziełko jego, to tylko szkic przewodnika. Jakkolwiek bowiem objęte nim jest istotnie tylko samo wybrzeże Bałtyku, to przecież w tym uszczuplonym terytorjalnie zakresie uwzględnione jest to wszystko, co przelotnego turystę może interesować—opracowywanie zaś danej okolicy w sposób zupełnie wyczerpujący i szczegółowy przekraczałoby zadania przewodnika i byłoby raczej monografią. W tem zresztą, co się tyczy praktycznego urządzenia wycieczki: odległość dróg, wybór środków lokomocyi, ceny i czas, autor nie szczędzi wskazówek bardzo nawet niekiedy drobiazgowych. Że zaś, jak sam mówi: „od kilku lat i pieszo i na rowerze, wiołem i żaglem docierałem do każdej na pobrzeżu położonej wsi; dotarłem wreszcie do wszystkich”, wierzyć można, że ten godny jak najgorętszego polecenia autorom przewodników system wydał owoce pod względem wiarygodności całkiem wystarczające. Jedyne z odsyłańa po informacje o Wejherowie i Pucku do innych przewodników możnaby zrobić zarzut, a i o Helu (osadzie), jakkolwiek czysto niemieckim, nie zawadziłoby kilka czysto praktycznych wskazówek. Przeszłość dziejowa wymienionych w przewodniku wiosek czerpana jest przeważnie z obszernej i ciekawej, choć mało zdaniem autora krytycznej pracy d-ra Franciszka Schultza: „Geschichte der Kreise Neustadt und Putzig”, która ukazała się około 1907 r., nie znajduje się jednak wcale w handlu księgarskim. Łącznie z książką p. Hartinghowej i broszurką „Niektóre wiadomości o Gdańsku i Sopotach” (o których w „Ziemi” sprawę zdawa-

liśmy uprzednio), przewodnik p. Chrzanowskiego obznajmia polskiego turystę dość dobrze z dawnym i obecnym stanem sprawy polskiej nad-Bałtykiem, zapełniając tem lukę we współczesnej literaturze krajoznawczej naszej.

T.t.

□□□□□□□□□□

Kronika Krajoznawcza.

+ Na ostatniem posiedzeniu zarządu kijowskiego komitetu rejonowego rozpatrywano projekt budowy kolei Doniecko-Dąbrowieckiej według dwóch wariantów: 1) Hryszyno—Zołotonosza—Fastów—Równe—Luck—Kielce i 2) Hryszyno—Zołotonosza—Fastów—Kowel—Chełm—Ostrowiec.

Zarząd komitetu rejonowego uznał budowę wzmiankowanej kolei żelaznej za nader pożądaną i postanowił projekt budowy wnieść do porządku dziennego obrad XI sesji komitetu, która wyznaczona została na d. 15 czerwca r. b.

□□□□□□□□□□

Odpowiedzi Redakcyi.

PP. *W. G. z Libawy i K. M. z Wiednia.*

Przewodników po Pruszech Królew. i Książęcych, jak również po Mazurach Pruskich nie znamy. Istnieją tylko wydawnictwa niemieckie, przepojone zresztą nienawiścią i lekceważeniem wszystkiego, co nasze—stąd mniej dla czytelnika polskiego stosowne. Do Litwy i Białej Rusi może służyć „Przewodnik” N. Rouby, oraz mapa, wydana przez „Kuryer Litewski”, którymi zresztą posilkować się trzeba z pewną ostrożnością.

◆ ◆ ◆ ◆

OD ADMINISTRACYI.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom, że czas odnowić przedpłatę na kwartał III-ci.

Reklamacje w sprawie nie otrzymanych we właściwym czasie N-rów „Ziemi” mogą być uwzględniane tylko w ciągu 2-ch tygodni od daty wyjścia N-ru.

TRĘŚĆ: *Dr. F. Chłapowski* — „Wiwianitowe i żelazkowe złoża u źródeł Baryczy i ich zużytkowanie” — dok.; *Kazimierz Kulwiec* — „Krajoznawstwo na wystawie miast-ogrodów i przyrodniczej” (z 3 ilustr.); *Jan Bułhak* — „Wycieczka na Świtez” (z 5 ilustr.); *Zygmunt Gloger* — „Przyczynki do dziejów ogrodnictwa polskiego”; *St. Th.* — „Sven Hedin w Tybecie” — c. d. (z 2 ilustr.). Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Nowe książki. Kronika Krajoznawcza. Od Administracyi.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera i S-ki—Składał i lamał Stefan Turobojski—Odbijał na maszynie Waleryan Szlicht—Kilaze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki—Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Piliicy.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwiec.**